EWA PLESZCZYŃSKA

ur. 1929; Sandomierz

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, okres powojenny, PRL, studia, gruźlica, sanatorium, profesor Ludwik Fleck, praca, współpraca z profesorem Fleckiem, mikrobiologia, żona profesora Flecka, współpracownicy, Danuta Borecka, jesziwa

Współpraca z profesorem Ludwikiem Fleckiem

Zdałam na biologię i zaczęłam studia na wydziale przyrodniczym. Długo to nie trwało, dlatego że miałam początki gruźlicy już w czasie wojny – po pierwszym trymestrze w jednym płucu nastąpił rozpad i znalazłam się w szpitalu. Założono mi odmę i wyjechałam do sanatorium, nie było mnie przez cały rok. Tylko ten jeden trymestr miałam zaliczony. Dopiero po wakacjach zgłosiłam się [na uczelnię], sądząc, że będę repetować ten rok, ale to były inne czasy, nie było tak jak w tej chwili. Poszłam zapisać się na ćwiczenia na pierwszy rok, ale na zoologii pracował wtedy asystent, [który] mnie pamiętał, i powiedział: „Dlaczego pani chce się na pierwszy [rok] zapisywać? Niech się pani zapisze na drugi”. Ja mówię: „No jak to, jak mam tylko jeden trymestr zaliczony?”. „Nie szkodzi. Niech pani idzie do dziekana i niech [on] pani powie, czy pani zezwoli studiować dwa lata w jednym roku”. Do sanatorium wzięłam ze sobą historię filozofii, to był jeden z egzaminów potrzebnych do zaliczenia pierwszego roku. Zgłosiłam się do profesora Harasska, czy mogę zdać egzamin. Zdałam, więc już miałam jeden egzamin z pierwszego roku. Dziekanem wtedy był Motyka, którego bardzo się wszyscy bali. poszłam [do niego] i zapytałam, czy będę mogła robić dwa lata w jednym roku. Powiedział: „Jak sobie pani da radę, to niech pani próbuje, niech pani zbiera do indeksu podpisy i potem zobaczymy”. Miałam o tyle niełatwą sytuację, że mi kolidowały różne zajęcia, ale dałam sobie radę i zaliczyłam dwa lata [w rok]. Wtedy drugie płuco się rozpadło i trzeba było założyć drugą odmę, ale ja się upierałam, że nie mogę, [chciałam dokończyć rok]. Profesor Kielanowski bardzo nalegał na to, żebym jednak zakładała tę odmę i nawet wysłał mnie do Zakopanego, ale ja stamtąd uciekłam. Przyjechałam tutaj, powiedziałam, że nie ma mowy, muszę skończyć ten drugi rok. Zaliczyłam drugi rok i potem jechałam pociągiem do Zakopanego. A w tym pociągu jechał profesor Fleck, poznałam profesora w pociągu. Po drugim roku musiałam już wybrać specjalizację. Wybrałam

mikrobiologię lekarską. Profesora musiałam znać z widzenia, bo mieliśmy niektóre zajęcia w tym Collegium Maius, tak że widywałam profesora. I wiedziałam, że to on, gdy usiadł z żoną naprzeciwko mnie. Uniosłam się, powiedziałam: „Dzień dobry, panie profesorze", a profesor z takim uśmieszkiem: „A pani mnie zna?", ja mówię: „Tak, będę słuchaczką pana profesora po wakacjach". No i tak też było, że już zajęcia z mikrobiologii mieliśmy na medycynie, część przedmiotów mieliśmy na weterynarii, chyba fizjologię, na logikę na przykład to wszystkie wydziały razem przychodziły na wykład. Ja mu opowiadałam pewnie o tym, że jadę do sanatorium, że będę miała założoną odmę. I on wtedy mi zaczął opowiadać o leukergii chyba, że jest taki odczyn, który polega na zlepianiu się leukocytów w stanach zapalnych i że on może zaproponowałby mi, że jak ja będę już w tym sanatorium, to bym mogła skorzystać tam z laboratorium, on by mnie nauczył, jak się robi taki bardzo prosty test. I ja bym może mogła pobierać krew od niektórych pacjentów, bo byłoby to ciekawe, jak to się zachowują leukocyty u tych chorych na gruźlicę. Następnego dnia po moim przyjeździe do Zakopanego profesor Fleck pojawił się u dyrektora sanatorium, czy on by mi na to zezwolił. Doktor Jasiński wyraził zgodę. Profesor Fleck poszedł ze mną do laboratorium, nauczył mnie, jak to się robi – wezmę taką kropelkę z palca, nałożę na szkiełko, zabarwię odpowiednio i będę w mikroskopie oglądać. No i tak było, że ja właśnie to robiłam. Okazało się, że w gruźlicy nie występuje to zjawisko. Po powrocie zgłosiłam się do profesora Flecka na studia. Już była połowa października może, więc musiał wyrazić profesor zgodę, żeby jeszcze mnie przyjąć na ćwiczenia. Po egzaminie pod koniec roku właśnie profesor zaproponował mi pracę, asystenturę, ale ja znów wyjechałam do sanatorium na lato i znów przyjechałam dość późno. Jakoś tak nie miałam śmiałości się zgłosić do zakładu. Przysłał po mnie takiego Marianka, laboranta, który przekazał mi, że profesor na mnie czeka. Więc ja tam się zgłosiłam, no i wtedy profesor powiedział mi, że niestety nie ma w tej chwili etatu, w związku z czym mógłby mi zaproponować albo wolontariat, albo pracę sekretarki. Ja się zdecydowałam na tę pracę. Profesor oczywiście od razu mnie zapytał, czy umiem pisać na maszynie, czy znam jakieś języki. Powiedziałam, że najlepiej znam niemiecki. Posadził mnie przy maszynie i podyktował mi jakąś swoją pracę po niemiecku. Ja bezbłędnie napisałam, przy pewnych określeniach takich fachowych on mi to jakoś tak ułatwiał, żebym wiedziała, co to za wyraz. No i powiedział: „Zatrudniam panią". Ja wtedy tam sobie urzędowałam razem z profesorem w tym samym pokoju. On miał biurko, a ja miałam taki stolik przy drzwiach. Musiałam oczywiście jakąś księgowość prowadzić, to mnie z kolei kolega nauczył, który w czasie wojny pracował w ubezpieczalni, znał się na tym. Musiałam też taką biblioteczkę małą obsługiwać, czasopisma przysyłano nam z różnych uczelni, pojedyncze egzemplarze niemieckie, francuskie, różne takie. Ten okres wspominam wspaniale, dlatego że byłam blisko profesora, a profesor miał pracownię obok swojego gabinetu. Sam właściwie robił sobie te preparaty, to wszystko oglądał. Dostaliśmy z UNRRY taki ogromny mikroskop kontrastowo-fazowy. Profesor spędzał

mnóstwo czasu właśnie przy tym mikroskopie. Razem z inżynierem Sochą, właścicielem takiego małego warsztatu, zaprojektowali specjalną szklaną kamerę, do której można było małą pipetką wprowadzać krew i wtedy można było obserwować wędrówkę leukocytów, które pełzają jak ameby. Profesor nieraz, siedząc przy tym mikroskopie, wołał: „Ewuniu, niech pani zobaczy, jak ten leukocyt zasuwa". W jego pracowni w klatce siedziała świnka morska, która się nazywała Biedka. Profesor do niej czasem tak podchodził, pogwizdywał. Bardzo ją lubił. Ten okres bardzo dobrze wspominam. A na asystenturę przeszłam po dziesięciu miesiącach, dopiero po wakacjach. Potem to już był krótki okres, bo po roku profesor wyjechał do Warszawy.
Zakład mieścił się w jesziwie, na dole, na parterze. To był nie tylko zakład mikrobiologii lekarskiej, na parterze wtedy się mieścił zakład mikrobiologii lekarskiej, weterynaryjnej, WZHW, to znaczy zakład higieny weterynaryjnej i jeszcze coś, tak że myśmy tam mieli kilka pokoi. Gabinet profesora Flecka był po prawej stronie w korytarzu na końcu. Wchodziło się do gabinetu profesora, obok była ta pracownia, obok jeszcze był taki mały pokoik, gdzie pani Fleckowa urzędowała, ona była na etacie laborantki, opiekowała się chemikaliami, magazynem. A poza tym jeszcze była diagnostyka lekarska także. Wtedy jeszcze mało było pracowni w Lublinie, które prowadziły jakieś takie bardziej skomplikowane badania, a nawet całkiem proste. Wtedy się robiło u nas morfologię krwi, OB i takie różne rzeczy, między innymi także odczyn Wassermana – wtedy bardzo dużo ludzi chorowało na kiłę. To był taki dosyć złożony odczyn. Trzeba było mieć zwierzęta laboratoryjne, od których się uzyskiwało to dopełniacz, to to, to tamto, to krwinki. Trzeba było mieć barana, króliki, świnki morskie, żeby to wszystko skompletować.
[Profesor] zawsze kładł biały fartuch, wchodził do gabinetu. Często zaglądał do innych pracowni, podchodził do asystentów, interesował się, co robią. Pani Borecka bardzo ściśle z nim współpracowała właśnie nad leukergią, nieraz siedziała w tej wielkiej pracowni, bo to nie była tylko pracownia profesora, ale też tam siedzieli i Lidka Perlińska, i Dziunia Borecka. Obie tam siedziały. I Dziunia się czasem bardzo martwiła, że nie wychodzą jej badania tak, jakby chciała, że to nie tak powinno być, a tak. No to profesor ją pocieszał: „Dziunieczko, niech się pani nie martwi. Proszę zapisywać wszystko, a analizować będziemy później". On nas tak uczył takiej uczciwości naukowej, uczył nas ciekawości, to było takie typowe dla jego sposobu uczenia.
[Państwo Fleckowie] mieszkali na Lubartowskiej w ostatnim domu przed tym budynkiem Akademii Medycznej. Tam prowadziła brama, w głębi był wcześniej szpital żydowski, później mieściła się tam klinika ginekologiczna, a bliżej ulicy był taki piętrowy chyba dom, może on jeszcze istnieje, nie wiem. I on tam mieszkał z żoną, mieszkał tam również profesor Stein z żoną. Tak że miał bliziutko do zakładu.

Data i miejsce nagrania	2914-09-16, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"